Ner. 10. Kraków 1 grudnia 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a. Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém. *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Od Redakcyi.

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonywuje nas, że pismo podobnego rodzaju było pożądaném i potrzebném. Nie łudzimy się, żeśmy dotąd w zupełności odpowiedzieli oczekiwaniu i programowi, czujemy braki i niedostatki, ale staraniem naszém będzie zaradzać im, aby nie zawieść położonego w nas zaufania. Uwzględniając nadsyłane nam życzenia Sz. Prenumeratorek, zaprowadzamy pewne zmiany tak co do treści pisma, jak i zewnętrznéj formy. Bliższe szczegóły podamy w swoim czasie, a dzisiaj już zapowiadamy, że: **bez podwyższenia prenumeraty, będzie wychodzić „Kalina“ od Nowego-Roku na welinowym papierze** i ze zmianą tytułu.

Czyniąc również zadosyć licznym zgłaszaniom się, zawarliśmy stosunki z odpowiedniemi zakładami i uwiadamiamy: że p r z y j m u j e m y do z a ł a t w i a n i a wszelkie sprawunki i komisa damskie toaletowe, krawieckie, modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać z zobowiązań jak najlepiéj i najpunktualniéj.

☞ Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, albowiem od tego zależy ilość nakładu, zwłaszcza mód i nut.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

VI.

S ą d.

Wiosenne ciepło już rozbudzało ziemię — pola i lasy odziewały się przejrzystą, młodziuchną zielonością tak ponętną dla oczów, tak rozbudzającą nadzieję w człowieku. W takim czasie skowronki podlatują nad orzącym rolnikiem, wierzbowe fujarki odzywają się pod lasami. Ale rok 1863 nie znał u nas takiéj sielanki — wiosenna zieloność była tłem ciągłych utarczek — balsamiczne lasy były szlakiem i schronieniem powstańczych oddziałów, i świadkami strasznych scen nieraz. W ziemi niewolników nie było wiosny. Wśród najcichszych ustroni słyszysz nagle tentent czwałujących koni, jakiś gwar i ruch w zaroślach lasu, wnet z za leszczynowych krzaków wysuwają się baranie czapki z kokardami, powstańcze burki, błyszczące szable i już po sielance.

Jeden z takich oddziałów ukazał się dnia 13 maja w okolicach miasteczka N., ominął z daleka miasteczko, w którém było kilka rot piechoty moskiewskiéj i sotnia kozaków, przeszedł półmilowy las i wyszedł na gościniec. Był to oddział, o którego zbliżaniu się wspominał był Jan poprzednio. — Na gościeńcu kilkunastu ludzi oddzieliło się i skręcili w boczną drożynę, prowadzącą do wsi S.; tych ludzi prowadził brat Konstancyi, już zdrowy zupełnie; — obok niego jechał komisarz województwa — w tyle znajdowali się syberyjczyk i Jan.

Potworna twarz syberyjczyka w téj chwiii była rozrzewnioną, rozglądał się z zajęciem po okolicy, czasami zatrzymywał konia i zwracając się do Jana, mówił:

— Dziwnie mi jest dzisiaj — serce tłucze się czegoś mocno w piersiach, niby to radość, a pod tą radością jest jakiś niepokój, jakaś trwoga, jakieś złe przeczucie. Te miejsca tak pełne wspomnień z dawnych lat cieszą mnie i smucą zarazem, jak uśmiech człowieka, którego żegnamy na długo. Patrz, tam pod tém urwiskiem, gdzie płynie rzeka podmywając gaik olszowy, tam lubiłem czytywać i dumać; po téj drodze, którą jedziemy, wyścigałem się nieraz z bratem.

Na wspomnienie brata zachmurzył się i zamilkł. Po chwili rzekł:

— Już widać dwór, w którym spełni się sprawiedliwość na zbrodniarzu. A jeżeli on uciekł? —

Ta myśl zaniepokoiła go, spiął konia i przyspieszył biegu.

— Po co tak piękne pamiątki brudzisz uczuciem zemsty ? — spytał Jan.

— Chcę je oczyścić z błota.

— Obmyj je przebaczeniem.

— Nie, krwią tylko. Ja na tę chwilę czekałem tak długo, wśród bolesnych przejść ta myśl, że kiedyś pomszczonym będę, podnosiła mnie i krzepiła, wypieściłem ją w swéj duszy, ona stała się celem mego życia i ty każesz mi teraz zrzec się téj myśli. Nigdy, nigdy! — Poświęciłem dla kraju życie — ale się nie zrzekę....

— Zemsty ? —

— Nie, sprawiedliwości. I téj żądam.

Wjechali w bramę dworu. Syberyjczyk obstawił strażą wszystkie wejścia. Wszedł furtką do ogrodu, chcąc straże postawić pod oknami. W téj chwili jakiś chłopiec wybiegł oknem i skrył się w krzakach. Jeden z ludzi zwrócił na to uwagę syberyjczyka.

— Mniejsza o jednego służącego, niech ucieka. Tu idzie o to, aby obwiniony nie uciekł.

To rzekłszy, wrócił do pokojów i spytał z pospiechem oficera:

— Jest? —

— Jest w swoim pokoju już pod strażą. Idę złożyć sąd.

— Ja przyjdę za chwilę.

Oficer odszedł. Syberyjczyk upadł w krzesło bezwładny ze wzruszenia. Znajdował się w jadalnym pokoju, było to ulubione miejsce, w którém jego ojciec długie przesiadywał godziny. Stary portret matki zczerniały wiekiem, wisiał wprost naprzeciw niego i patrzał na niego wymownie malowanemi oczyma. Wspomnienia tłoczyły się jedne po drugich bezładnie, rozpierały mu piersi wzruszeniem tak, że zapatrzony w przeszłość, zapomniał po co tu przybył. — Gdy tak siedział, otwarły się drzwi i weszła do sali jakaś niemłoda już kobieta, z wyrazem niespokoju na twarzy. Ujrzawszy syberyjczyka, stanęła oniemiała i oboje przez chwilę patrzeli na siebie nic nie mówiąc. Kobieta pierwsza przemówiła:

— Teraz rozumiem poco ście przyszli. Pan chcesz się zemścić, prawda? —

Syberyjczyk wstał, ale milczał.

— Mścij się pan, ale na tych, co zawinili — na mnie. Co on wam winien? —

— Oboje ciężko ście zawinili przeciw mnie. Nie przyszedłem się mścić na pani, serce ma swoje popędy, którym rozkazywać trudno. Zresztą po co poruszać stare rzeczy, które czas zatarł. Ja przyszedłem żądać od niego rachunku, za to, co przeciw mnie uczynił. On mnie okradł z majątku — pani musisz wiedzieć o tém.

— Dla czego pan nie przyszedłeś sam, brat z bratem porozumielićby się mogli. Ci ludzie, których przyprowadziłeś ze sobą, mają coś strasznego w twarzy, ja w nich czytam okropny wyrok dla mego męża. Panie ratuj go, oszczędź go, wszak to twój brat, oszczędź nas.

— Pani go kochasz — pani możesz szanować tego człowieka? —

Kobieta spuściła oczy przed badawczym wzrokiem syberyjczyka i milczała.

— Nie, ty nie możesz szanować człowieka, którego brudną duszę poznałaś. —

— On moim mężem. —

— Rozumiem szlachetność twoją.

Dalszą rozmowę przerwało wejście oficera.

— Sąd czeka — rzekł. Syberyjczyk skinął i poszedł za nim.

Rozmowa z kobietą, którą niegdyś kochał, rozbroiła sybaryjczyka przeciw bratu, szedł na sąd z myślą przebaczenia; ale gdy zobaczył twarz oskarżonego bez skruchy, owszem impertynencko śmiałą i wyzywającą, zawrzał oburzeniem, uczucie litości odleciało precz — spojrzenia braci zmierzyły się jak ostrza pałaszy przed pojedynkiem.

Komisarz pełnomocny przeczytał oskarżenie i spytał obwinionego co ma na swoją obronę.

— Bronić się powinien ten, który rzuca oszczerstwa, a nie ja, — rzekł tenże z efronteryją.

— Nierozumiemy czego pan chcesz?

— Chcę dowodów, bo przypuszczam, że rząd narodu dobijającego się wolności, nie potępi mnie na proste oskarżenie jakiegoś włóczęgi.

Syberyjczyk zacisnął pięść i chciał skoczyć ku potwarcy. Ten stał spokojnie i wzrokiem urągał mu:

— Pięść to nie dowód — rzekł.

— Czy był kto świadkiem owéj pozornéj sprzedaży — spytał komisarz. —

Syberyjczyk zastanowił się, coś sobie przypomniał i kombinował:

— Tak, rzekł po chwili, był jeden człowiek znajomy mój. Przypominam sobie, że on jako prawnik radził mi zabezpieczyć się przeciw wszelkim podejściom,

żądaniem nawzajem od tego tutaj człowieka podłego skryptu na sumę wartości wioski. Nie chciałem przystać na to, nie przypuszczałem wtedy, że przeciw bratu tak prawnie zabezpieczać się trzeba. Ale ów mój towarzysz nalegał na to i ten — rzekł pokazując na brata stojącego w zakłopotanéj postawie — dał mi skrypt taki. —

— I zachowałeś go pan?

Nie chciałem taką niewiarą uwłaczać miłości braterskiéj — skrypt został w ręku tamtego świadka.

— Gdzież on jest? —

— Bóg wie.

Oskarżony rozśmiał się szyderczo.

— Jak się nazywał? — pytał daléj komisarz.

— Tadeusz M.

— To był mój ojciec — rzekł oficer wstając.

Oskarżony znowu pobladł i zmienił się — odwrócił się ku oknu, jakby ztamtąd oczekiwał jakiéj pomocy. Komisarz daléj śledztwo prowadził, pytając oficera. —

— Czy ojciec pański żyje? —

— Żyje.

— W takim razie mógłby nam udzielić potrzebnych objaśnień.

— To trudno. Ojciec mój cierpi pomieszanie zmysłów. —

— Może ów skrypt znajduje się w jego papierach.

— Wątpię.

Turkot powozu przerwał dalsze indagacyje. Maurycy z żoną zajechali przed ganek. Maurycy był w ubiorze powstańca, uzbrojony i gotowy do drogi; prześladowania bowiem moskali, szerżące się powstanie, nie pozwalały mu dłużéj siedzieć w domu spokojnie i przypatrywać się bezczynnie walce, w któréj ważyły się losy jego narodu. Szczególniéj jedna chwila wpłynęła na to postanowienie — było to wtedy, gdy widział żonę swoją na balu zelżoną przez kapitana. Strasznie uczuł w téj chwili swoją bezsilność, on mąż — obronić jéj nie mógł. Niewolnik uczuł wtedy dopiero ciężar kajdanów, gdy go zraniły w serce, uczuł się spętanym, więc zapragnął być wolnym. Dziś właśnie odwoził żonę, by ją powierzyć opiece rodziców — a sam chciał udać się do najbliższego oddziału. To też widok uzbrojonych ludzi stojących na dziedzińcu, ucieszył go. Rozpromieniony i wesoły wszedł do pokoju i nie pomału zdziwił się, ujrzawszy ojca swego stojącego przed trzema ludźmi, którzy z surową powagą patrzyli na niego.

— Co to ma znaczyć ojcze? — spytał z pospiechem.

Syberyjczyk, który chciał biedz na jego przywitanie — osłupiał na te słowa.

— Ojcze? Więc to twój ojciec — więc ty, któryś mi tyle świadczył dobrego, byłeś synem jego? —

Nastała chwila milczenia i oczekiwania. Na twarzy syberyjczyka widać było walkę wewnętrzną, widocznie pasował się z jakąś myślą — wreszcie z wysileniem, które go zapewne wiele kosztować musiało, rzekł:

— Nie chcę sądu. —

— Ale ja chcę — odezwał się oskarżony z bezczelną pewnością, ośmielony brakiem dowodów. — Ja chcę, ja domagam się sądu. Rzuciłeś potwarz, udowodnij ją — inaczéj ja będę żądał sądu na oszczercę.

Na te słowa sędziowie, którzy już zabierali się do wyjścia, stanęli zdziwieni i pytające zadziwione oczy rzucali to na oskarżonego, to na skarżącego, jakby żądali wytłomaczenia téj zagadki.

Maurycy rozpogodził twarz — śmiałe wystąpienie ojca świadczyło o jego niewinności, to go uszczęśliwiało; — jak z drugiéj strony oszczerstwo wuja wzbudzało w nim wstręt i odrazę.

Wśród téj nieméj sceny, w któréj najsprzeczniejsze uczucia miotały sercem aktorów, wszedł żołnierz z depeszą, wzywającą powstańców co prędzéj do powrotu do oddziału. Depesza nakazywała pospiech — niebawem więc opuścili dwór. Syberyjczyk odchodząc, chciał pożegnać Maurycego — ten cofnął swą rękę ze wstrętem. Syberyjczyk pokiwał smutnie głową i wyszedł.

— Podli — rzekł Maurycy.

— Ten papier powie panu kto podły — rzekł Jan i rzucił mu papier.

— Był to ów dokument, który przypadkiem dostał się do rąk Jana w mieszkaniu Konstancyi.

— Co to za papier? spytał ojciec —

— Rewers z twoim podpisem ojcze — i oddał mu papier, patrząc na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i surowéj powagi.

Ojciec zobaczywszy pismo pobladł.

— Kto był ten człowiek, co ci to dał?

— Człowiek, który powinien mnie nienawidzić. O! pomścił się okropnie, pokonał mnie szlachetnością.

Zakrył twarz rękami ze wstydu i zabierał się do odejścia.

— Gdzie idziesz Maurycy? —

— Ojcze, my teraz nie możemy patrzeć sobie w oczy — bez wstydu. —

Chciał odejść — wtém w bramie ukazali się Moskale — przed nimi szedł ów chłopiec, którego straże widziały wyskakującego oknem. Maurycy cofnął się w głąb pokoju. —

— Ukryj się w pokoju matki tymczasem — rzekł z pospiechem ojciec — tu nie jesteś bezpiecznym.

Maurycy wyszedł. — Za chwilę wszedł kapitan z żołnierzami.

— Gdzie są powstańcy, o których nam pan donosisz? — spytał dziedzica.

— Już odjechali.

— To kłamstwo. Na dziedzińcu stoi koń jednego z nich, on tu się ukrywa.

— Proszę mi wierzyć panie kapitanie.

— Ja wierzę tylko własnym oczom — soldaty za mną.

Kapitan rozpoczął śledztwo, przetrząsał pokój po pokoju — aż zbliżył się do sypialni kobiecéj. —

— Kapitanie — rzekł dziedzic drżącym głosem — to sypialnia mojéj żony!

— Najlepsza kryjówka — ustąp pan!

— Kapitanie — powtórzył oburzony — zdaje mi się, że zasługuję na wasze zaufanie, uszanuj pan mój dom. Tam niema nikogo. —

— Zobaczymy.

To mówiąc, odepchnął gospodarza i wszedł do sypialni, w któréj przerażone i drżące kobiety stały obok Maurycego. —

— A to kto? — spytał kapitan drwiąco.

— To mój syn kapitanie. —

— Więc pan własnego syna denuncyjowałeś — nie minie pana chrest za to. — Wiązać więźnia. —

Ojciec Maurycego jęknął rozpacznie, załamał ręce i upadł w krzesło. (Dokoń. nast.)

Do starego odzienia.

Kiedy me stare kładę odzienie,
W każdym fałdeczku jakieś wspomnienie —
W każdym fałdeczku widzę łez ślady,
Od których wzrok mój teraz tak blady.
I witam, witam one pamiątki —
I drogie mi są odzienia szczątki,
I trudno bardzo rozstać się z niemi,
Chciałabym zabrać gdy pójdę z ziemi.
I na sąd stanąć w téj sukni staréj,
Aby świadczyła jak do przebycia
Trudną mi była ta droga życia —
A może Pan Bóg zmniejszyłby kary.

Twarz ludzka.

Czemże twarz ludzka — czém czoło — czém lica?
To gładka biała z marmuru tablica,
Na któréj z czasem będą wypisane
Kreski i znaki boleścią zadane.

Oczy, co błyszczą jako dwie pochodnie
I na świat patrzą zrazu tak swobodnie,
Kiedy je boleść rosi często łzami,
Zbledną, przygasną jak słońce za mgłami.

Usta — siedziba śmiechu — usta one
Wesołą pieśnią szczęścia otworzone,
Gdy ból zaciśnie — to aż na sąd Boży
Podobny uśmiech znowu je otworzy. —

. . . . . *a.* —

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

La Blancherie począł bywać częściéj. *Philippon*, ojciec, nie rad był z tego, żenowała go obecność tego człowieka tak, że mu aż dał do poznania, że niepotrzebnie coś za często ich nachodzi. Te zwroty, półświatła, przeszkody pomagały mu właśnie coraz więcéj. Z daleka widywany, zyskiwał w oczach kochanki. Jeżeli *La Blancherie*, którego *Manon* nie ma już sposobności widywać, znajdzie się w kościele na doroczném nabożeństwie za matkę jéj, jakżeż ją to porusza. „Wyobrazisz sobie wszystko to, czém mogła mnie natchnąć obecność jego przy podobnym obrzędzie. Rumieniłam się zrazu za moje grzeszne łzy, które płynęły zarówno z powodu matki jak i kochanka.... Nieba! co za słowo!... lecz czyliż mnie to powinno mieszać i niepokoić? O nie; upewniłam się zaraz co do prawości uczuć moich i wzięłam cię na świadka święty i drogi cieniu“... Widzimy do jak wysokiego tonu wrażenia dochodziły. Jednak te trudności w widywaniu stały się zarazem najlepszym przewodnikiem dla oszołomionéj głowy. Wyobrażenie jakie miała o tym niby wybranym, stawało się coraz wyraźniéj czystym wytworem jéj własnéj wyobraźni, i sprzeczność jego z człowiekiem rzeczywistym musiała wypłynąć na jaw. Potrzeba było do tego lada najmniejszéj sposobności, aby prawda i jasność jéj usposobienia doznały wstrętnego niesmaku i odczarowania na widok przedmiotu, który okazał się wcale innym, jak go sobie wyobrażono; człowiekiem ani złym, ani zbyt głupim, ale najpospolitszym w świecie. Spotkała go w ogrodzie Luksemburgskim z pióropuszem na kapeluszu; filozof w piórach — a to okropność! Dołączyły się niektóre śmieszności, jakie o nim opowiadano, i nastąpiło ostateczne skompromitowanie ideału. Gorączka wyobraźni ustąpiła bez wysilenia, najlepszy dowód, że serce w téj całéj sprawie nie wiele brało udziału.

W kilka miesięcy po owém spotkaniu w kościele, pisze o nim: „Nie uwierzysz, jak mi się wydał szczególnym; te rysy, chociaż te same, nie mają już tego samego wyrazu, nie malują mi już tych samych rzeczy. O jakżeż potężném jest złudzenie! Szanuję go po nad innych ludzi, zwłaszcza jego wieku; lecz nie jest to już ideał doskonałości, pierwszy swojego rodzaju, nakoniec, to nie mój kochanek; i ot wszystko“. Jest to wcale drastyczna lekcyja o błędnych ognikach. Dla słabszych usposobień jak naszéj *Manon*, możeby nie tak łatwe było wycofanie się, bo może zaangażowanie się byłoby większe.

Odbywszy się z tą pierwszą niby miłością, wracamy do téj *Manon*, którąśmy zastali na początku niniejszego rozdziału w pracowni ojca. Czynna i cicha jak zawsze, ale dusza jéj wyrywa się, pragnie się rozglądnąć po

szerszym świecie, pragnie ważniejszych zajęć. Utrata matki, pierwsza miłość, najrozmaitsza lektura, coraz liczniejsze znajomości z znakomitszymi ludźmi, którzy naturalnie pewnie od jéj towarzystwa nie stronili — wszystko to staje się dla jéj duszy w 22gim roku życia energicznym bodźcem, i wartość jéj w całości odstania. Napróżno powtarza nieraz z przedziwnym wdziękiem. „Ja pragnę cienia, półświatło wystarcza dla mojego szczęścia, i jak mówi *Montaigne*, dobrze może być tylko w tylnéj izdebce“. Jéj silnéj naturze, jéj wyższym zdolnościom nieraz już ciasno po za parawanem i na téj nizinie, na któréj ją los postawił. Czara jéj życia przepełnia się, porównuje się sama do lwa w klatce, zdaje się jéj, że się powinna była urodzić Spartanką lub Rzymianką, a przynajmniéj mężczyzną. I tutaj odsłania się nowy rys jéj duszy, wychowanéj na Plutarchu i na skromnym mieszczańskim chlebie.

Widzieliśmy światło umysłu, widzieliśmy cnoty domowe i dobroć serca, tutaj potrącamy o patryjotyczny zapał. Ale i ta struna jest — że tak powiem — przestrojoną jeszcze; jéj dźwięk jest jeszcze pomącony pewną przesadą, nieodłączną od pierwszych rojeń i wrażeń, i nieraz zdaje się jeszcze nieharmonijować z dźwiękiem innych strun charakteru, i odbiegać po za wymagania trzeźwego życia. Tony te późniéj dopiero w harmoniją się ułożą. „Przyjedź przecie do Paryża, pisze do słodkiéj i pobożnéj Zofii, wszystko jest niczém w porównaniu z pobytem tutaj, gdzie umiejętności, sztuki, wielcy ludzie, wszelkiego rodzaju zasoby dla ducha, gromadzą się na wyścigi. Jakież to wycieczki, jakie zajmujące studyja robiłybyśmy razem! O jakże ja pragnę poznać doborowych ludzi wszelkiego rodzaju. Nieraz zbiera mię ochota nawdziać kapelusz i... ażebym mogła iść poszukać i przyjrzeć się pięknu i talentom. Mówią, że znalazły się kobiety, których miłość i poświęcenie skłoniły do tego.... Ach, gdybym nieco mniéj rezonowała, i gdyby nieco przychylniejsze okoliczności, *tête bleue!* nie brakłoby mi zapału na to. Nie dziwię się, że Krystyna (mowa tu o szwedzkiéj królowéj) porzuciła tron, aby mogła żyć spokojnie, zajęta umiejętnościami i sztukami, które kochała.... Wszelako, gdybym ja była królową, poświęciłabym moje gusta obowiązkowi — uszczęśliwienia moich poddanych*). Tak! ale cóż to za ofiara! Zatém i przytém nie martwię się zbytecznie, że nie noszę korony królewskiéj, chociaż bardzo mi brak środków.... Lecz plotę piąte przez dziesiąte — kocham cię, adieu.“ Odnośnie do tych jéj pragnień, przytoczymy z pamiętników jeden wypadek. *Rousseau* był przedmiotem jéj czci i uwielbienia, chciała koniecznie poznać go. Korzystając ze sposobności, że jeden znajomy jéj Genewczyk chciał mu dedykować swoje kompozycyje muzyczne, napisała list do *Rousseau'a* o pozwolenie na to, dodając, że sama przyjdzie po odpowiedź. Wybrała się z towarzyszką, zapukała — drżąc jak u progów świątyni, ale głos kobiecy odpowiedział jéj prostém nie. I nigdy go już potém nie widziała. Jest to może najlepszy sposób, ażeby bóstwa umysłu mogły się dłuższy czas ostać w nas cało.

Przyjaźń dla Zofii zyskuje na tym zbiegu i konflikcie różnych wzruszeń i pragnień, jeszcze dla niéj saméj niejasnych, szukających dla siebie przedmiotu i przestrzeni. Ona sama to wyznaje i daje nam klucz do zrozumienia jéj stanu: „Ach Zofio osądź do jakiego stopnia ja uczuwam przyjaźń, kiedy to jest jedyne moje uczucie, które nie jest ujarzmione“, to jest, które może swobodnie się rozwijać i objawiać. Lecz i ten ton słabnieje, słychać coś jak żal: „Zofijo, Zofijo, każesz zbyt długo czekać na twoje listy“.... Bo kiedy *Manon* wyrywała się w świat, Zofija myślała o wstąpieniu do klasztoru. Dwie przyjaciołki przestają być dla siebie całym światem, uczucie stygnie, napróżno je pobudzają i zasypują się zaręczeniami; jest to już tylko odgrzywanie, powiedziała to późniéj sama pani *Roland*, że w karyjerze przyjaźni, tak jak na drodze cnoty, poczynamy się cofać w chwili, gdy przestajemy iść naprzód. W samą porę przybyła do Paryża starsza siostra Zofii Henryka, jéj żywość wyobraźni, tryskający humor odpowiadał więcéj usposobieniu *Manon*, stała się dla niéj „trzecią mną samą“. Stracimy niebawem z przed oczu te panieńskie stosunki, musimy więc — uprzedzając kolejność wypadków — tutaj nadmienić, że ta przyjaźń świetnie się udowodniła. Po wielu latach, wielu niezgodach politycznych, nie zerwała się wcale; owszem, kiedy *Manon* w więzieniu na wyrok czeka, przybiega Henryka tajnie, chce ją ratować, ubrać w własne suknie i wyprawić, a sama zostać na jéj miejscu. *Manon* nie przyjęła ofiary, powtarzając jéj: „o moja ty dobra, stracono by cię za to“.

Obok téj nowéj przyjaźni, pojawia się właśnie teraz i pan *Roland*. Wypadek ten rozpoczyna już drugi peryjod jéj życia. Rozważaliśmy obszerniéj pierwszy ten peryjod, aby łatwiéj zrozumieć następne. Śledzić rozwoju duszy i charakteru — zwłaszcza tak świetnego — nigdy nie można zanadto. Odsłoniła nam się tutaj prawdziwość téj idei, że doskonała moralna istota w nas — jeżeli ma być — to jest wcześnie; w dwudziestu latach jest ona już w całéj swojéj jednolitości i wdzięku. Wtedy prawdziwie nosimy w sobie nasze ideały i naszych bohaterów. Późniéj przeżyje człowiek nieraz samego siebie. W miarę jak się rozwija i jak się odsłania oczom drugich, traci sam w sobie; kiedy cały świat poczyna go cenić, jego już niema tyle co przedtém, czasami już wcale go niema. Swoboda, poświęcenie, wierność i stałość, odwaga, zachowują jeszcze te same nazwy, ale już mało na nie zasługują. Każda dusza postępując, doświadcza wszystkich ciosów i upadków, do jakich

*) Będziemy mieli niżéj sposobność porównać te dwa charaktery.

tylko jest zdolną. Przynajmniéj u więcéj wartających ludzi wszystko to co się nazywa postępem życia, jest nierównie niższe od owego ideału, który na chwilę obiecywała i urzeczywistniała młodość. Jest to więc wielce ponętne zajęcie poszukiwać tego pierwszego portretu u ludzi, których następnie sława za swoje dzieci przybrała. Pani *Roland* okaże się późniéj zapewne nierównie większą — ale nigdy mądrzejszą, głębszą, więcéj zachwycającą jak w tych chwilach młodego, serdecznego wylania się. Mogłaby była żyć do końca w tych pierwszych ramach, jakie jéj los zakreślił — i nie czulibyśmy, że jest nie na swojém miejscu. Jéj przyjaciołom nie przyszłoby było nigdy na myśl, żeby ją przenieść do tych sfer burzliwych, gdzie oddychała tak szeroko i umarła tak triumfująco. Była ona w tym drobnym zakresie tą samą, co i później; tylko doskonała jéj natura moralna umiała się tak ułożyć, że nie widać przymusu. Prywatne życie obudza ten interes, że się z niego wróży charakter i gieniusz, mający niebawem zajaśnieć. Jakżeż to rzadcy jednak są tacy ludzie, którzyby byli zarówno na swojém miejscu, dobrzy i wyborni w życiu prywatném, wielcy w publiczném, jak *Waszington, Kościuszko* i p. *Roland*. Późniejsze życie jéj da na to coraz świetniejsze dowody, dotąd przypatrzyliśmy się narodzinom i pierwszym szkołom jéj charakteru, różnym jego odcieniom. Wśród nieszczęść domowych i przykrości, które oblegają istnienie téj, która przestała już być młodziutką panienką, występuje przedewszystkiem jedna zaleta, któréj nie można dosyć chwalić, która jéj nadaje równowagę moralną, prawość i czujność: tj. czynność, przedewszystkiem działać. „Jest to wielka prawda, powtarza ona nieraz, że szczęście polega jedynie na téj drogocennéj czynności, która nas ratuje od czczości i czyni do wszystkiego zdolnymi“. Z tego zamiłowania pracy, które się stało jéj naturą, wynika dla niéj szacunek, cnota, szczęście, wszystkie rzeczy, w których umiała żyć, i które jéj nie opuściły i w godzinę śmierci.

II.

Mamy więc obecnie przed sobą już skończoną kobietę. W dalszym toku opowiadania nie będziemy się wiązać ścisłém następstwem wypadków, bo nie o historyją nam idzie. Zresztą znany jest los jéj, że jako żona ministra, należącego do jednego z umiarkowanych stronnictw (żirondystów) została w wirze rewolucyjnym na śmierć skazaną i ściętą na gilotynie. Nie będziemy się zastanawiać nad politycznym procesem, ale na tle ówczesnéj zawieruchy rysujemy charakter kobiety.

Życie jéj dalsze nie da się już rozdzielić na peryjody, tak samo jak charakteru nie można krajać na kawałki bez obawy utracenia całości widoku. Bo wartość charakteru po tém się właśnie poznaje, że w każdym pojedynczym rysie, w każdym wypadku cały się przebija. Jednak dla jasności obrazu i uwydatnienia pojedynczych części jego, musimy im się przyjrzeć z osobna, a najpierw jéj domowemu pożyciu.

Pan *Roland* pojawił się pierwszy raz przed nią z listem polecającym od przyjaciołek; przychodził potém rzadko, zawsze pełen naturalnéj powagi, od pierwszego wejrzenia poznać było w nim surową cnotę życia, budzącą sympatyją i poszanowanie. I od pierwszego dnia ta, któréj przeznaczone było uświetnić jego imie, stara się, aby mu się przedstawić korzystnie i zyskać jego szacunek. W jego rzadkich odwiedzinach było zawsze coś uroczystego i pełnego znaczenia. Rozmowa szła o wszystkiém: *Rousseau*, *Woltaire*, Szwajcaryja, rząd, Grecy, Rzymianie, były to przedmioty rozmowy; panna zapala się nieraz, gniewa — on z łagodnym uśmiechem prostuje jéj zdania, naprowadza, tłomaczy, poucza, z prostotą trzeźwą ale nie pedantyczną, jakby brat z młodszą siostrzyczką. — Po niejakim czasie wyjechał do Włoch, powróciwszy, bywał jeszcze rzadziéj.

Podobne postępowanie drażniło ją nieco, bo czuła, że ona robi na nim wrażenie, a i sama się nim zajęła. Raz marzy o nim, że przyjdzie — na próżno. Pisze o tém do przyjaciołek zimno, sucho; że jest to człowiek zbytecznie zajęty, który się mało udziela; że ona, która tak chętnie opisuje swoich dobrych znajomych, nie czuje się w prawie o nim pisać; jest on odnośnie do niéj na odwrotnym końcu zbyt długiéj lunety i nic jéj nie przeszkadza do przypuszczania, że jest jeszcze we Włoszech.

W ten sposób nie pisze się o kimś, co nas nie obchodzi. Był to dobry znak dla pana *Roland*. Znał on dobrze wielką różnicę wieku, miał bowiem pięćdziesiątkę; był ostrożny i baczny, postępował rzadko, zwolna i bezpiecznie, tak jak rozum, albo przeznaczenie. Wiedział, że trzeba mu przemówić do szlachetnych instynktów, i głębokich prawd, palących się w jéj duszy, wiedział, że staranie się nadskakujące, robiłoby go komicznym w jéj oczach. Zresztą rzetelność jego wymagała, aby się przedstawił odrazu tém, czém był, człowiekiem sumiennéj pracy, kapłanem obowiązku, pojmującym życie na seryjo. Spodziewał się znaleść w niéj przywiązaną towarzyszkę doli i niedoli, miał prawo liczyć na to, że ona zdolną jest ocenić go, tak jak on ją pokochał, i nie zawiódł się, bo istotna, jedyna miłość tę ma potęgę, że wzajemność staje się koniecznością. Ofiarował jéj swoje listy z Szwajcaryi i Włoch: oświadczył się z całym spokojem o jéj rękę, i został przyjęty.

Wyjechali na prowincyją. P. *Roland* był inspektorem królewskich fabryk, całe życie strawił na pracach i podróżach, jedną tylko myślą zajęty, żeby przemysł Francyi na wszelki sposób podnieść i ulepszyć. Wydał już kilka odnośnych podróży, rozpraw i memoryjałów. Był to gorliwy obywatel, który nosił ojczyznę w najgłębszéj głębi swojego serca. Każda czynność jego natchniona była gorącym patryjotyzmem, toż nic dziwnego, że

taka kobieta jak *Manon*, była szczęśliwą pod opieką jego miłości, ona, która pracę tak wcześnie nauczyła się cenić. (Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Gawęda o kaszmirowym szalu.

(Dokończenie.)

Warsztat tkacza bardzo pojedynczy: stołek i kilka igieł drewnianych, z których każda innokolorową nicią nawleczona — oto cały przyrząd nie licznego, ale pracowitego ludu, z którym zapewne długo jeszcze nie ośmielą się konkurować zmyślne machiny Liwerpoolu, Lijonu i Wiednia. Najpojedyńczszego wzoru szale cztérech rąk wymagają; nad trudniejszémi pracuje trzech lub czterech ludzi, którzy po skonbinowanych deseniach razem zaledwo o ćwierć cala przez dzień posuwają robotę na warsztacie. Szal bardzo trudnego wzoru tka się na kilku warsztatach w kilku kawałkach, które następnie zręcznie spajają.

Tak zwany „ustand“ czyli mistrz, kieruje całą robotą. Siedzi on przed wszystkimi robotnikami i zwraca ich uwagę na deseń, barwy, nitki i sposoby wiernego oddania wzoru, który mistrzowsko namalowany na papierze, ciągle ma przed oczyma.

W milczeniu czeladnicy pełnią swoją powinność, a rytmem niejako ich roboty, jest regularne kiwanie głowy, świadczące, że pracownik oddany duszą i ciałem swéj czynności.

Przez cały ciąg tkania przewrócony jest szal na lewą stronę. Ale cóż ten szal przedstawia?... Gdzie czerpał artysta natchnienie do deseniu?... Oto w odwiecznéj a zawsze pięknéj, zawsze świeżéj i niewyczerpanéj przyrodzie. Szal kaszmirski, to istne odwzorowanie przyrody, to dywan kwiatów, jakim się na wiosnę przystraja górzysty kraj „pięciu porzeczy“.

To też w opisach Kaszmiru zgodnie twierdzą podróżnicy, że okolica tameczna na wiosnę istnym jest rajem; a pola rozległe okryte szafranem, narcyzami, tulipanami, tuberozami i inném cudnobarwném kwieciem, wydają się olśnionemu widzowi jak rozściełony pod stopami olbrzymich rozmiarów i pysznych barw szal kaszmirowy.

Istotnie rzec można, że arabeski i kwiaty szalu rywalizują tak świetnością barw jak i rysunkiem z owym kobiercem ręką przyrody utkanym. Ależ ileż to znoju, ilu różnorodnych a zespolonych sił niedołężnego człowieka potrzeba, żeby odwzorować to, co potężna przyroda garścią rzuconych promieni słonecznych dokazać może....

Szal kaszmirski trudniejszego wzoru, wymaga pracy 3 lub 4ch robotników przez rok cały. Pojedynczego deseniu szal może być przez dwóch robotników w kilku miesiącach ukończonym. Cena téż pierwszego dochodzi do 12,000 Zł. austr. — gdy mniéj wzorzystych dostać można po 5000, a nawet po 2000 Zł. austr.

Gdy szal już zupełnie skończony, stęplują go w urzędzie celnym w Kaszmirze, przyczem właściciel płaci $^1/_4$ część wartości jego, rządowi.

Tym sposobem sułtan Rundszyt-Sing, twórca téj zdzierzéj akcyzy, wyzyskiwał rocznie około 2ch milionów Zł. a.

Myliłby się, ktoby myślał, że opłacone już szale kaszmirskie idą wprost do Europy okrywać ramiona paryzkich elegantek — bynajmniéj.... Wszystkie prawie szale zakupują bogaci Indyjanie i dopiero noszone przez siebie a następnie wyprane, wysełają do Europy.

Na świeżości barw nic prawie szal taki nie traci, ale po deseniu można mniéj więcéj starość jego poznać.

Obecnie posiada miasto Kaszmir 16,000 warsztatów tkackich, które wyrabiają rocznie około 80,000 szalów — a sześćdziesięciu tysiącom ludzi dają zarobek. Podanie niesie, że za panowania Wielkich Mongołów miał Kaszmir dostarczać światu rocznie 200,000 szalów z 40,000 warsztatów tkackich. Dawne to jednak czasy i podanie nie pewne. Szale kaszmirowe w trzech wyrabiają gatunkach: kwadratowe cienkie, długie cienkie i długie ordynarne, biało z czarnem pasiaste. Długich używa ludność mahometańska na zawoje i turbany, a kwadratowémi opasują biodra lub jak płaszczyki zarzucają na plecy.

Rzecz dziwna, że ten produkt rękodzielniczy, te pyszne szale, wyrabiane przez na pół dzikich górali, w małym górskim zakątku świata — znanemi są wszędzie jak szeroka i długa ziemia i noszone przez wszystkie narody jako artykuł zbytku i mody.

Najdelikatniejszą cienkość łączą one z najwyższą stosunkowo siłą ogrzewalną; a chociaż są najlepsze ze wszystkich tkanin welnianych, wszelako najcięższém płacą się złotem. *L.*

Opis ryciny mód i krojów

(które będą przyłączone do następnego numeru).

W dzisiejszych wzorach uzupełniamy mody zimowe — ponieważ w przyszłych musimy przejść do toalet balowych — chociaż zimowe rzeczy także jeszcze będziemy określać w tabeli krojów następnych, ażeby Sz. Pr. wszystko udzielać, co się tylko pod względem mody i elegancyi zjawia.

Fig. 1. wzoru przedstawia zupełny ubiór zimowy, który szczególnie dobrze wygląda z pół długą peleryną od płaszcza. Krój łatwy, zwyczajny — peleryna również, a rękaw według upodobania szerszy lub węższy. Taka sama peleryna jest pod fig. 15—16. Opuszczamy więc w dzisiejszej tabeli formę, ponieważ prócz tego dużo rzeczy mamy opisać.

Także do drugiéj fig. wzoru przedstawiającego **paletot aksamitny**, nie podajemy kroju, ponieważ takie same formy z pōoznaczoną figurą jużeśmy podali. — Główną cechą dzisiejszego paletota jest bogaty przybór szmuklerski, który bardzo elegancko wygląda.

Paletot ten z aksamitu lub pluszu, musi być mocno watowany, lub też lekkiém futerkiem podszyty.

W końcu przedstawia wzór cały jednaki ubiór z cienkiéj wełnianéj materyi, obłożony czemś ciemniejszém. Żaczek obcisły przykrojony w greckim guście, jakie już podawaliśmy w przeszłym numerze. — Spodnica podwójna, któréj wierzchnia musi być zupełnie tak wycinana i ubierana jak żaczek. — Nie koniecznie aby spodnia suknia była aż do góry z téj saméj materyi — owszem od połowy prawie może być zrobiona z czegoś tańszego.

TABELA KROJÓW.

Fig. 1. **Żaczek wiedeński**. — Chociaż żaczek ten jest bardzo krótki, jednakże zrobiony z ciepłéj materyi, lub dobrze watowany, zupełnie jest stósowny na zimę. W sukni boczna kieszeń zupełnie tak jest przybrana jak żaczek, co dowodzi, że musi być zrobiona z jednakiéj materyi. Oryginalna forma i ubranie epolety przy żaczku, powtarza się na spodnicy w większym formacie. Wyobraźmy sobie ubiór, pododbny cały materyi wełnianéj popielatego lub srebrnego koloru, okładany niebieskim aksamitem albo mantyną lub morą, to trudno już wymyślać coś równie skromnego a zarazem eleganckiego. Ubranie podobne całe z aksamitu lub mory, jeszcze większy robi efekt, w takim razie obłożenie robi się z mantyny stósownego koloru.

Robimy uwagę, że krój ten tylko do osoby średniéj zastósowany — można więc miarę ułożyć od 42ch do 50ciu cali i całość według figury wymierzyć. Stanik żaczka złożony jest z 5ciu części, jak widać na tabeli, boczków jest trzy na to, ażeby figura dobrze przylegała, nawet gdyby ubiór ten był robiony z materyi, która się z trudnością daje ułożyć; boczki oznaczone są Fig. 3—5, pojedynczo rysowane, a przez Fig. 2. przodkiem żaczka złączone.

Fig. 8—11. **Żaczek paryski**. Trzeba oddać sprawiedliwość gustowi wiedeńskiemu, że naśladując modele francuskie i berlińskie, unika ich przesady — widać to i na noszonych obecnie paletotach w greckim smaku, i żaczkach, które dołem jakby posiekane w kilkanaście końców, przy których jeszcze różne świecidła poprzyczepiane, wydają odgłos dzwonków. Tak samo dzieje się z tak zwanemi greckiemi „Peplos", które się tylko przywięzuje jak fartuch ostrokończysty. „Berliński Bazar" rozszerzył tę śmieszność nawet na kapiszon, tak zwany „kapotka-peplos", przy któréj są dwa spadające końce z kutasami po każdéj stronie bocznéj i takież wieszadła, tak, że zupełnie wyobrażają czapkę błazeńską.

Żaczek Fig. 11. jest zupełnie w tym rodzaju posiekany i na końcach kutasami przybrany.

Fig. 12. **Nowy rodzaj obłożenia**. Piękny ten wzór może służyć na rozmaity użytek, głównie jednak do ubrania staników, powtarzając go w równych, niezbyt małych przedziałach. Może być zrobiony z szutaziu w połączeniu ze stembnem, albo też na maszynie do szycia, szczególniéj jeżeli się używa przyrządu, gdzie szew formuje wypukły sznurek.

Fig. 13—17. **Zimowy paletot**. Rysunek Fig. 17. oznacza ten pół przylegający ubiór w całości. Jest on cokolwiek dłuższy, jak przepisuje teraźniejsza moda paryska i wiedeńska, ale też stósowniejszy do pory. Przody spinane potrzebami (brandenburskie) z dużemi baryłkowemi guzikami; rękawy i kieszenie podobnież przybrane.

Fig. 18—23. **Długi zimowy kaftan**. Eleganckie to ubranie najlepiéj wygląda, z aksamitu lub pluszu, okładane szmuklerskiemi wyrobami według rysunku Fig. 23. — Krój przylegającego paletota, tylko przodki i boczki w szwie bocznym mocno zaokrąglone i od góry przybrane obłożeniem — uzupełniają elegancyą tegoż jak bliżéj można rozpoznać według Fig. 23. Do tego należy pasek.

Fig. 24—27. **Przestronny krótki żaczek**. Ulubiony ten teraźniejszy żaczek jak okazuje Fig. 24., od boczków opatrzony listewką, która się z tyłu spina, jeżeli sobie ktoś życzy więcej obciśle nosić. Żaczek ten bardzo ładnie ubiera, przez listewkę układa się w fałdy, jakby przyciśnięty paskiem. W przodkach kieszenie z patkami. Żaczek ten robi się zwykle z podwójnéj materyi wełnianéj.

Fig. 28—29. Przedstawiają w dodatku do podanych wzorów paryskich szkice mód wiedeńskich. Przedstawiają jedno i toż samo ubranie przodki i plecki. Jest to pół-długie u dołu w zęby wycięte paleto, całe przybrane w zęby — można na formę użyć kroju Fig. 24. do 27., tylko plecki i przodki przydłużyć i wyciąć stósowne zęby. — Bogate obłożenie tegoż oznacza Fig. 28—29.

Fig. 30. **Nowy model obłożenia**. Model ten głównie bywa używany do obszycia sukien, od dołu może być bardzo prędko zrobiony maszyną wypukłym ściegiem lub sznureczkową robotą; dobrze także wygląda obszycie szutaziem.

Zwracamy tutaj uwagę, że chcąc się samemu w najnowsze stroje zaopatrywać, potrzeba koniecznie obok wzorów i krojów, ułatwić sobie pracę maszyną do szycia. Użycie jéj za granicą, rozszerza się ogromnie.

☞ Ażeby **niefachowym** ułatwić zastósowanie przedstawianych przeznas pomniejszonych krojów — podamy przy modach *styczniowych* jeszcze raz obszerny opis; jak również damy na od wrotnéj stronie arkusza krojów dokładny szemat redukcyjny, *obejmujący naturalne miary wszystkich wielkości ciała, począwszy od dzieci aż do słusznych figur*. Sądzimy, że tym sposobem wszystkie życzenia zadowolnimy. Zresztą co do toaletowych potrzeb zwracamy uwagę na ogłoszenie na czele numeru.

Korespondencja „Kaliny".

Wszystkie reklamacyje natychmiast uwzględniamy — uwiadamiamy jednak powtórnie, że każda przesyłka mód i nut jest oprócz zapowiedzenia w numerze jeszcze i na każdym adresie naznaczoną, a mianowicie odpowiednie litery ***m***(ody) lub ***n***(uty) są czerwonym ołówkiem podkréślone. Jeżeli więc coś nie dojdzie — nie nasza w tém wina. — Nieregularności w przesyłce mód pochodzą ztąd, że dotąd jeszcze z powodu transportów wojskowych koleje zwolnione są od tak zwanéj *Lieferungszeit*, w skutek czego wszelkie przesyłki zalegają w drodze. Jeżeliby więc zaszło jakie spóźnienie bez naszéj winy, prosimy o cierpliwość, a niechaj i to mówi za nami, że zacząwszy od 1go paźdz. 1866 — a nie od pierwszéj soboty w październiku, dajemy w skutek tego w bieżącym kwartale o jeden numer więcéj.

— Pani B. P. w Sn. — Mnóstwo powieści osnutych na życiu artystów tak wyczerpały ten przedmiot, że trzeba wielkiego talentu, aby go można uczynić jeszcze zajmującym. Szczegółowych uwag moglibyśmy udzielić w osobnym liście przy odesłaniu manuskryptu, jeżeli Pani zwrotu takowego zażąda.

— Pan Br. Ro. we Lwowie. Nie nasza to wina, że autor nieudolnéj powiastki, nadesłanéj do „Kaliny", ma te same początkowe cyfry, których Pan używasz. Racz nam Pan wskazać sposób, w jaki uchylić to *qui pro quo*, w jaki sposób wyjaśnić publiczności że pan B. R. — nie jest panem B. R.

W biórze Redakcyi można nabyć:
pojedynczych egzemplarzy [illegible] wydawanych przy „Kalinie" — po cenie 15 cent. — jakotéż w księgarniach PP. Czecha, i Grzybowskiego w Krakowie; — u P. Hercoka we Lwowie; — u P. Leitgebera w Poznaniu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.